WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 145 6 GRUDNIA 1977 R CENA 1.50 ZŁ

DZIŚ MIKOŁAJKI

Na ten dzień z największym utęsknieniem oczekują najmłodsi, ale... Ale i starsi, a nawet zupełnie dorośli bardzo lubią upominki i różne miłe niespodzianki. A właśnie dzisiaj są Mikołajki! Pamiętaliście o tym?!

Fot. **M. Szymański**

HARCERZE HONOROWYMI KRWIODAWCAMI

Dar serca

CIECHANÓW (HSI). Kluby honorowych krwiodawców PCK zrzeszają – w województwie ciechanowskim – 1500 członków. W tym roku oddali oni honorowo ponad 1700 litrów najcenniejszego leku, jakim jest krew. W wielu szkołach regionu ciechanowskiego działają harcerskie kluby honorowych dawców krwi. Najlepiej pracują kluby w Technikum Rolniczym im. Aleksandra Świętochowskiego w Gołotczyźnie i Technikum Radiowo-Telewizyjnym w Pułtusku. Zarząd Wojewódzki PCK organizuje dla najaktywniejszych krwiodawców wycieczki i obozy. W tym roku na pięciodniową wycieczkę do Krakowa i Zakopanego wyjechało 45 osób, w tym kilku harcerzy. Była ona formą podziękowania za ich obywatelską postawą.

(aug)

NOWA TRADYCJA WE WROCŁAWSKIM SZCZEPIE IM. WŁADKA ZAREMBOWICZA

WROCŁAW (HSI). Harcerze z Liceum Ekonomicznego nr 1 godnie przyjęli ósmoklasistów w swoje szeregi. W połowie listopada zakończył się okres próbny, w którym absolwenci szkoły podstawowej doskonale sprawdzili się, działając w nowych drużynach. Podsumowaniem dwumiesięcznego stażu był uroczysty kominek poświęcony bohaterowi szczepu. Przygotowała go drużyna kl. I b wraz z druhną pwd. Lucyną Hacuś. Wiersze, wspomnienia i piosenki ukazały pierwszoklasistom sylwetkę Władka Zarembowicza – założyciela pierwszej drużyny harcerskiej w należącym wówczas do Niemiec Wrocławiu. Na zakończenie kilkanaście druhen złożyło przyrzeczenie harcerskie.

(es)

TROCHĘ LATA WCZESNĄ ZIMĄ

RYPIN (HSI). Harcerze z gminy Rypin otrzymali od załogi Rypińskich Zakładów Okrętowych sprzęt obozowy wartości ponad 200 tys. zł. Znalazły się tu: namioty, koce, łóżka, czyli wszystko, co jest niezbędne do zorganizowania obozu dla 70 osób. Najbliższy obóz letni zlokalizowany będzie nad jeziorem w Sitnicy, (teren ten harcerze otrzymali wraz ze sprzętem). Wstępne czynności związane z organizacją akcji letniej zostały już podjęte – uczestniczyć w niej będzie około 250 harcerzy.

(ach)

MLEKO W KAŻDEJ SZKOLE!

WARSZAWA (PAP). Ogłoszona przed laty akcja „Szklanka gorącego mleka dla każdego ucznia" przyniosła spodziewane rezultaty. Z roku na rok wzrasta ilość mleka dostarczanego do szkół. W roku ub. uczniowie wypili go ponad 600 tys. litrów! W szkołach wiejskich ten gorący posiłek wszedł już do zwyczajów. Gorzej jest w miastach. Szkoły, zarówno podstawowe jak i średnie, po prostu nie zamawiają mleka, choć spółdzielnie mleczarskie oferują dostarczenie go w każdej ilości. A tymczasem np. do szkół średnich dojeżdża ok. 40 tys. uczniów. Jak bardzo przydałaby się im, zwłaszcza w zimie, szklanka gorącego mleka, nikt z nas nie wątpi...

(kl)

Nowy regulamin Zimowej Spartakiady

Dotychczas organizowane w sportach zimowych imprezy centralne przeznaczone dla najmłodszych zawodników, nie spełniały swojej roli. Uporczywa gonitwa za punktami (z nich przecież rozliczano trenerów) wypaczała samą walkę. Bywało, że w wypadku mniejszej liczby startujących w niepopularnych u nas dyscyplinach (np. saneczkarstwie) w bój wysyłano przedstawicieli innych konkurencji. Aby uniknąć podobnych nieporozumień postanowiono, że już w najbliższej Zimowej Spratakiadzie Młodzieży (13–18 lutego 1978 r.) startować będą tylko ci zawodnicy, którzy zajmują się konkretną dyscypliną i posiadają odpowiednie klasy sportowe. Dla pozostałych będą organizowane imprezy na szczeblu szkoły, gminy i województwa. Uczestnicy ZSM podzieleni zostaną na trzy kategorie wiekowe: młodzików (nie mogą startować w konkurencjach wytrzymałościowych), juniorów młodszych i juniorów starszych. W Szczyrku, Wiśle, Oświęcimiu i Zakopanem, gdzie odbywać się ma najbliższa spartakiada, obowiązywać będą nowe zasady. Wydaje się, że wreszcie zapewnią one ciągłość szkolenia przyszłych mistrzów nart, łyżew i sanek. (zp)

Fot. **K. Adamowski**

Warto o tym wiedzieć

ŚWIĘTO PRZYJACIÓŁ

Z datą 29 listopada wiążą się dwa historyczne wydarzenia. W 1943 roku w miasteczku Jajce zebrała się II sesja Antyfaszystowskiej Rady Wyzwolenia Narodowego Jugosławii – AVNOJ. W dwa lata później, również 29 listopada, Zgromadzenie Narodowe proklamowało powstanie państwa ludowego – Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii. Od tej pory dzień ten, nazwany Dniem Republiki, obchodzony jest jako święto narodowe.

Narody Jugosławii przed II wojną światową były żywym przykładem gospodarczego zacofania, istniejącego w tej części Europy. Koncepcje uzyskania wpływu na losy Półwyspu Bałkańskiego przez państwa zachodnie nie zakładały zresztą zmiany tego stanu. Podsycano wzajemne waśnie pomiędzy siedmioma narodowościami wchodzącymi w skład dzisiejszej Republiki, w latach wojny okupanci hitlerowscy tworzyli na tym terenie marionetkowe państewka faszystowskie.

Komuniści jugosłowiańscy właśnie w miasteczku Jajce przedstawili program zrównania praw wszystkich narodowości i demokratyzacji życia społeczno-politycznego. Powstałe po wojnie państwo socjalistyczne w chwili obecnej może się pochwalić osiągnięciami we wszystkich dziedzinach. Czternastokrotnie zwiększono produkcję przemysłu, od nowa tworząc niektóre jego gałęzie, ponad dwukrotnie wzrosła produkcja rolna. Zmieniła się też struktura uprzemysłowienia kraju – nowoczesne fabryki powstają już nie tylko w tradycyjnie przemysłowych republikach, lecz także w zacofanej ongiś Macedonii, czy Hercegowinie.

Wielkim sukcesem współczesnej Jugosławii jest jej konsekwentnie prowadzona pokojowa polityka zagraniczna. Przypomnieć należy, że Jugosławia jest jednym z inicjatorów powstania ruchu państw niezaangażowanych. W ciągu kilkunastu lat działalności ruch ten udowodnił, że małe i średnie państwa mogą obok wielkich mocarstw uczynić wiele dla odprężenia ogólnoświatowego. Godzi się też podkreślić, że w chwili obecnej właśnie w Belgradzie odbywa się spotkanie przedstawicieli ministrów spraw zagranicznych państw-sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE.

Współpraca polsko-jugosłowiańska w dziedzinie gospodarczej rozwija się od wielu lat bardzo dynamicznie. Wzajemne obroty handlowe wyraźnie wzrastają każdego roku, dobrze służąc interesom obu narodów. Więzi polityczne podkreśliła ostatnia wizyta w Polsce przewodniczącego Związkowej Rady Wykonawczej SFRJ, Veselina Dżuranovicia. (mz)

Złodzieje w muzeum

Późnym wieczorem przyjechali do niewielkiego miasteczka Mirano, w pobliżu Wenecji, ciemnoniebieska furgonetka, niczym nie różniąca się od setek takich pojazdów krążących po drogach włoskiej prowincji, zaparkowała w bocznej uliczce w pobliżu zabytkowego kościoła parafialnego. Gdy zapanowała cisza i pogasły ostatnie światła w oknach domów, z samochodu wysiadło czterech mężczyzn. W milczeniu skierowali się w stronę kościoła. Starając się zachowywać jak najciszej wyważyli ciężkie, okute żelazem wrota. Wyłamali drugie wewnętrzne drzwi. Świecąc elektrycznymi latarkami podeszli do ołtarza.

Świtało już, gdy furgonetka z piskiem opon wyjeżdżała z wąskich uliczek Mirano. Rano, kiedy dwunastoletni Paolo Santinelli wkładał do teczki drugie śniadanie i pospiesznie dopijał mleko, by biec do szkoły, jego rodzice wiedzieli już, że w nocy włamano się do kościoła. Złodzieje ukradli wiszący od setek lat za marmurowym ołtarzem, obraz namalowany przez słynnego malarza Gian Batistę Tiepolo. W Mirano wydarzenie to stało się ogromną sensacją i jeszcze dziś, po czterech latach, jest tematem domowych i kawiarnianych dyskusji.

Prasa włoska skwitowała je natomiast kilkuzdaniowymi notatkami na ostatnich stronach. W tym kraju zdążono się już przyzwyczaić do częstych kradzieży dzieł sztuki. Tylko w jednym roku liczba skradzionych obrazów, rzeźb i innych przedmiotów artystycznych przekracza we Włoszech cztery tysiące. Łupem złodziei padają przede wszystkim dzieła sztuki znajdujące się w małych prowincjonalnych kościołach lub zbiorach prywatnych. Ale plaga ta nie omija także wielkich państwowych muzeów i galerii sztuki. Ze znanego na całym świecie muzeum w Urbino złodzieje zrabowali obrazy Rafaela i Piero della Francesco. Z Galerii Sztuki Nowożytnej w Mediolanie „zniknęło" 28 arcydzieł van Gogha, Utrilla, Cezanne'a i Renoira.

Ceny stale rosną

Kradzieże dzieł sztuki w 70-tych latach naszego wieku stały się światową plagą. Choć kradziono je także w minionych stuleciach, zjawisko to nigdy nie osiągnęło tak wielkiej skali jak obecnie. Oczywiście nie dotyczy to tylko Włoch – kradzieże zdarzają się niemal na całym świecie. Najwięcej notuje się ich jednak w Europie Zachodniej – we Włoszech, Francji, Hiszpanii, Belgii, Holandii i Wielkiej Brytanii. W krajach tych – nie poddanych w przeszłości masowemu rabunkowi dóbr kultury, jak np. Polska – zachowała się największa liczba dzieł sztuki w muzeach, galeriach, kościołach i zbiorach prywatnych.

Historycy sztuki, muzeolodzy, dziennikarze i policjanci od wielu lat dyskutują nad przyczynami stale rosnącej liczby kradzieży. Najważniejsza z nich nie budzi wątpliwości. Jest nią stały i gwałtowny wzrost cen dzieł sztuki. Wiadomo, że wybitny malarz holenderski Rembrandt w ciągu całego swojego życia namalował ok. 300 obrazów. Do naszych czasów dotrwało ich zaledwie 200. Reszta przepadła w wyniku klęsk żywiołowych, wojen i innych kataklizmów historycznych. Natomiast liczba muzeów i kolekcjonerów, którzy chętnie kupiliby obecnie płótno Rembrandta za najwyższą nawet cenę, przekracza kilkadziesiąt tysięcy.

Liczba dzieł sztuki jest ograniczona, a większość z nich znajduje się w posiadaniu muzeów lub prywatnych kolekcjonerów. Obecni właściciele dzieł wcale nie mają zamiaru sprzedawać swoich zbiorów. Powoli więc jedynym sposobem wejścia w posiadanie dzieła sztuki staje się przestępstwo. Skoro nie można kupić legalnie obrazu Rembrandta – pozostaje kradzież.

Przestępcze przedsiębiorstwa

Zdecydowana większość rabunków znanych obrazów lub rzeźb dokonywana jest na konkretne zamówienie. Bogaty kolekcjoner wynajmuje szajkę włamywaczy, złodziei i przemytników oraz wskazuje dzieło, które gang ma mu dostarczyć. Przestępcy włamują się do muzeum lub galerii, kradną wskazane dzieło i przemycają je za granicę, po czym inkasują pieniądze i szukają następnego zamówienia. Policja w krajach zachodnich od kilku już lat twierdzi, że w wielu państwach działają znakomicie zorganizowane „przedsiębiorstwa" przestępcze, specjalizujące się w kradzieżach dzieł sztuki na zamówienie.

W ubiegłym roku w wyniku wspólnej akcji policji z RFN, Austrii, Belgii, Francji i Holandii, rozbity został gang, bezkarnie grasujący przez 6 lat na obszarze między rzekami Mozą i Mozelą. Rejon ten usiany jest zabytkowymi zameczkami, pałacami, kościołami i starymi willami. W ciągu 6 lat większość z nich została ogołocona przez gangsterów z cennych artystycznych przedmiotów. Prawie wszystkich włamań dokonano na zamówienie bogatych kolekcjonerów.

Po aresztowaniu przestępców okazało się, że banda składała się z 10 zawodowych włamywaczy. Współpracowało z nimi ponad 40 paserów i rozmaitych pomocników. „Przedsiębiorstwo" dysponowało własną kolumną kilkudziesięciu szybkich samochodów, a nawet własną drukarnią, w której fałszowano blankiety zezwoleń na wywóz skradzionych dzieł za granicę.

Dzieła sztuki kradną także szantażyści, pragnący wyłudzić od muzeów lub towarzystw ubezpieczeniowych wysoki okup. Oni byli sprawcami kradzieży obrazów Rafaela i Piero della Francesco z muzeum w Urbino. Nazajutrz po kradzieży szantażyści zadzwonili do dyrektora muzeum, żądając w zamian za zwrot zrabowanych dzieł olbrzymiego okupu – 3 miliardów lirów. Oficjalnie żądanie to zostało odrzucone, obrazy zaś odnaleziono po kilku tygodniach w Szwajcarii. Dopiero po roku dziennikarze dowiedzieli się, że dyrekcja muzeum – obawiając się, by przestępcy nie zniszczyli bezcennych płócien – w tajemnicy wypłaciła szantażystom żądaną sumę.

Chrońmy to, co ocalało

W Polsce kradzieże dzieł sztuki nie są poważną plagą. Zdarzają się jednak takie fakty. Wzbudzają one powszechny niepokój. Kraj nasz był kilkakrotnie ogołacany ze skarbów kultury narodowej w wyniku wojen i kataklizmów historycznych. Szczególnie dotkliwe straty ponieśliśmy w czasie okupacji hitlerowskiej. Okupanci prowadzili planową, zorganizowaną akcję rabowania polskich muzeów, zbiorów i prywatnych kolekcji. Wielu wykonawców tej akcji rabowało na własną rękę, czego przykładem może być działalność sądzonego obecnie w Amsterdamie Pietera Mentena. Tym bardziej ze szczególną troską powinniśmy chronić nasze zabytki i dobra kultury materialnej.

W ubiegłym roku stanęła przed sądem kilkunastoosobowa grupa przestępców zajmujących się przemytem dzieł sztuki z Polski na Zachód. Wiele z tych dzieł pochodziło z kradzieży. Zlikwidowanie tej grupy przez MO pozwoliło uchronić przed wywiezieniem wiele bezcennych zabytków. W maju bieżącego roku odzyskane dzieła zgromadzono na wystawie w warszawskim Muzeum Narodowym. Można było na niej obejrzeć obrazy Matejki, Wyspiańskiego, Gierymskiego, Kossaka, piękne srebra i porcelanę, historyczną broń oraz rękopisy ks. Józefa Poniatowskiego, Tadeusza Kościuszki i wiele innych pamiątek narodowych.

Działalność tej grupy przestępczej była wyjątkiem. Większość zdarzających się u nas przestępstw przeciwko dziełom sztuki nie ma charakteru zorganizowanego, są to jednostkowe drobne czyny, szybko wykrywane przez MO. Nie można ich jednak lekceważyć. Nawet kradzież świątka z przydrożnej kapliczki jest nie tylko kradzieżą, lecz pomniejszeniem naszego wspólnego, ogólnonarodowego, historycznego i kulturowego dorobku, który tak bardzo uszczupliły wojenne pożogi.

KRZYSZTOF DOŃSKI
Rys. **T. Baranowski**

Nad Tybrem i nad Wisłą

Gdy z okazji ważnych wydarzeń politycznych pisze się o kontaktach łączących dwa państwa, najchętniej sięga się do historii. Nie jest to tylko zwykłe pójście na łatwiznę, grzecznościowa formułka, miły lecz pozbawiony głębszej treści gest pod adresem partnera, reguła gry.

Historia, jaka na przestrzeni wieków połączyła dwa państwa, ma znaczenie współczesne. Z pięknej tradycji wyrasta teraźniejszość, tworzą się symbole będące wzorem, zachętą do kontynuowania głębokich więzów przyjaźni.

Polska-Włochy: w dziejach naszych krajów przykładów ożywionych kontaktów wzajemnych można wskazać bardzo wiele. Oto Kallimach, opiekun i nauczyciel synów królewskich, jeden z pierwszych, którzy w Polsce propagowali humanistyczne zasady Odrodzenia. Królowa Bona: anegdota o spadku, jaki nam wszystkim tu nad Wisłą pozostawiła w postaci... włoszczyzny.

Pod włoskim niebem szukali natchnienia nasi najwybitniejsi artyści, ludzie pióra. Na słynnych wyższych uczelniach renesansowej Italii, promieniujących wiedzą na całą Europę kształcili się najznakomitsi polscy uczeni – Mikołaj Kopernik, Andrzej Frycz-Modrzewski. „Z ziemi włoskiej do polskiej" wyruszyli żołnierze-tułacze z nadzieją wywalczenia upragnionej niepodległości Ojczyzny. Francesco Nullo, polscy bojownicy walczący w szeregach włoskich patriotów dokumentowali sens hasła „Za naszą i waszą wolność".

Nieprzypadkowo więc właśnie w okresie wizyty Edwarda Gierka we Włoszech znana tamtejsza oficyna wydawnicza Editori Riuniti opublikowała wspaniałą książkę poświęconą stosunkom historycznym, kulturalnym i naukowym, łączącym oba państwa od okresu Odrodzenia, aż po dzień dzisiejszy. Trudno bowiem nie myśleć o przeszłości, gdy mówi się o przyszłości.

A znaczenia wizyty Edwarda Gierka dla jutrzejszego kształtu współpracy polsko-włoskiej nie sposób przecenić. Przypomnijmy: wszak to po raz pierwszy w historii polski przywódca gości w Rzymie. Świadczy fakt ten o dotychczasowym pomyślnym rozwoju stosunków, przede wszystkim gospodarczych, o owocnym dialogu politycznym. Prasa włoska przypomina także, i z pewnością nie jest to fakt bez znaczenia, że wizyta I sekretarza KC PZPR następuje po jego rozmowach z przywódcami Francji, RFN i przed bliskim spotkaniem z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Podkreśla znaczenie, jakie nasz kraj przywiązuje do współpracy z Włochami. Już od dłuższego czasu znajdują się one w czołówce krajów zachodnich, w których dokonujemy dużych zakupów maszyn i urządzeń dla modernizowanego i rozbudowywanego przemysłu. Właśnie kwestie ekonomiczne były jednym z głównych tematów rozmów. Po latach szybkiego tempa wzrostu wymiany handlowej, nadeszły lata nieco słabsze. Przezwyciężenie tego niekorzystnego zjawiska – między innymi przez zwiększenie eksportu z Polski, współpracę w dziedzinie energetyki, nawiązanie współpracy między małymi i średnimi przedsiębiorstwami, rozwinięcie kooperacji, której najlepszym przykładem jest współdziałanie w produkcji „maluchów" – będzie zadaniem na najbliższe lata.

Nie zapominajmy też o międzynarodowym znaczeniu wizyty – jest ona przecież częścią dialogu między krajami o odmiennych systemach społeczno-politycznych, dialogu, którego celem jest bezpieczeństwo i pokój na naszym kontynencie. Nie ma większych różnic w stanowiskach Polski i Włoch wobec podstawowych problemów współczesnego świata: zahamowania wyścigu zbrojeń, rozszerzenia owocnej współpracy gospodarczej, kulturalnej i naukowej w Europie.

„Kultywując piękne tradycje – powiedział Edward Gierek – powinniśmy stale spoglądać w przyszłość i działać tak, by nasze narody coraz lepiej poznawały się wzajemnie, a nasza współpraca stawała się coraz bardziej owocna. Jestem głęboko przekonany, że będzie to cieszyć i Polaków i Włochów, oba nasze zaprzyjaźnione, darzące się sympatią narody".

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

ŚLADAMI PEWNEGO ANONIMU

„WYCIĄGNIJ NOGI TY ZMORO"

czyli

PRÓBA WYRZĄDZENIA KRZYWDY

„Droga Redakcjo. Jestem uczniem VIII kl. Gminnej Szkoły Zbiorczej w Lipinkach Łużyckich. Wychowania fizycznego uczy w naszej klasie pan). I właśnie w tym sęk... Z wf, pomimo moich starań, ciągle jestem najgorszy, a pan znęca się nad wszystkimi słabeuszami. Bije każdego, kto nie pokona wyznaczonej wysokości lub nie przebiegnie z całą grupą dystansu 1500 m. Słabsi uczniowie, w przeciwieństwie do tych mocniejszych i sprawniejszych, są ośmieszani uwagami typu: wyciągnij nogi, ty zmoro itp. Nie jest to najlepsza zachęta do uprawiania sportu... Niedawno pan Z. zmuszał nas do dźwigania 50-kilogramowych słupów ogrodzeniowych... Nasza sala gimnastyczna jest bardzo słabo zaopatrzona w sprzęt, a z powodu panującego w niej zimna nie nadaje się do prowadzenia wf. Wiem, że stopnie na świadectwie brane są pod uwagę w momencie ubiegania się o przyjęcie do szkół ponadpodstawowych, a ja, bez własnej winy, otrzymam z wf zapewne ocenę zaledwie dostateczną... Droga Redakcjo, przyjedźcie do naszej szkoły, nie zwlekajcie, pomóżcie!*

Uczniowie z Lipinek"

Właściwie, z przyczyn powszechnie wiadomych, nie reagujemy na listy nie podpisane konkretnym nazwiskiem nadawcy. Ale ponieważ przytoczona w skrócie korespondencja zawierała sporą dawkę dramatycznych niemal przykładów – tym razem postanowiliśmy odstąpić od przyjętej zasady i zbadaliśmy sprawę na miejscu.

OD SŁOWA DO SŁOWA

Na pierwszy rzut oka szkoła w Lipinkach Łużyckich (woj. zielonogórskie) niczym nie różni się od innych podstawówek. Z zainteresowaniem spoglądam na sporych rozmiarów boisko piłkarskie, lekkoatletyczną skocznię, korty tenisowe. Wszystko funkcjonalne, ładne, zadbane. Przeprowadzam też krótkie rozmowy z grającymi w futbol chłopcami. Mam szczęście; wielu z nich jest uczniami klas ósmych, a więc kolegami nadawców (lub nadawcy) listu, który trzymam w kieszeni. Oczywiście przedstawiam się, ale nie wyjawniam celu mojej wizyty. Początkowo rozmowa się nie klei, jednak od słowa do słowa dowiaduję się, że pan Z... w ogóle nie prowadzi z nimi wf! Ma lekcje tylko z dziewczętami. Czyżby więc one były autorkami korespondencji?

Dziewczęta spoglądają na mnie nieufnie. Ale po kilku minutach atmosfera się poprawia. Wszystkim pokazuję list, zadaję konkretne pytania. Moi rozmówcy – jak sami przyznają – do sportowych orłów nie należą; jednak z wielkim oburzeniem przyjmują wiadomość, że stać było kogoś na podobną korespondencję. Zdecydowanie przeczą zawartym w niej opisom, twierdzą, że pan Z. traktuje swoje zajęcia bardzo poważnie. Nikt z otaczającej mnie grupy nie był świadkiem dzielenia przez pana Z. klasy na dobrych i złych. Nawet ciamajdom służy radą i pomocą. Pytam więc czy przenosił ktoś te nieszczęsne 50-kilogramowe słupy. Większość nie wie o co chodzi, wzrusza ramionami. Ale Janek Sęk wyjaśnia cały problem:

– To było bardzo dawno – mówi. – Bodajże półtora roku temu przywieziono do naszej szkoły kilkadziesiąt słupów cementowych. Cieszyliśmy się, że w końcu będziemy mieli odgrodzone od ruchliwej szosy boisko. Pomagaliśmy przy ich wkopywaniu. Ciężkie były, ale każdą sztukę brało sześć osób. Na każdego z nas przypadło więc niecałe... 9 kg.

Korty – jak dotąd marzenie większości szkół w kraju. A w Lipinkach grają w tenisa już od dwóch lat

Dowiaduję się też, że sporo wysiłku kosztowała ich budowa kortów. Większość prac wykonali sami, ale dziś każdy wie jak wygląda gra w tenisa. Wokół nisko rozwieszonej siatki zawsze tłok. Chłopcy wcale nie ukrywają, że marzy im się sala gimnastyczna z prawdziwego zdarzenia. Jednak nie wybrzydzają; ta stara, przerobiona z byłej remizy strażackiej, nie jest w końcu taka zła. Sporo w niej sportowego sprzętu, dwa stoły do ping-ponga. Wprawdzie stojący pod ścianą piec trochę przeszkadza, ale zdają sobie sprawę, że jest on złem koniecznym; przynajmniej nikt nie trzęsie się z zimna...

SZCZĘŚLIWA „13"

Dopiero teraz zdecydowałem się na rozmowę z panem Z. i dyrektorami szkoły. Byli niezwykle zaskoczeni moją wizytą, a jeszcze bardziej treścią listu.

ZSG w Lipinkach należy do najbardziej usportowionych szkół województwa. Jej biegacze zajmują rokrocznie wysokie miejsca i to nie tylko w swoim okręgu. W tyle nie pozostają również piłkarze, aktualni liderzy rozgrywek rejonowych. Z kalendarza imprez szkolnych, z kroniki wyczytuję, że na przestrzeni zaledwie dwóch ostatnich miesięcy sportowcy ZSG wzięli udział aż w dziewięciu zawodach. Ostatnio stała się tam również modna Karta Sprawności Biegowej. W szkole działa również doskonały szczep harcerski, z którego inicjatywy powstał MKOl. (Międzyszkolny Komitet Olimpijski). To właśnie on organizuje tradycyjną od lat hufcową olimpiadę, tenisowy „Grand Prix", Lipianek Łużyckich. Wiele dobrego słyszałem również o SKS. W jego emblemacie widnieje tylko „13" – jak dotąd szczęśliwa dla członków klubu...

Długo można by wyliczać sportowe sukcesy uczniów z Lipinek Łużyckich. Nie w tym rzecz. Gdyby tak jednak ich list został wydrukowany bez sprawdzenia stanu faktycznego? Na to przecież liczył autor korespondencji. Dopiero teraz możemy spostrzec rozmiar zła, który wyrządzilibyśmy nauczycielowi i szkole. Czy zauważył to również anonimowy nadawca?

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

Fot. **autora**

*) **Imię i nazwisko znane redakcji**

Co robisz, kiedy nic nie robisz? Oczywiście uczę się, bo jutro klasówka

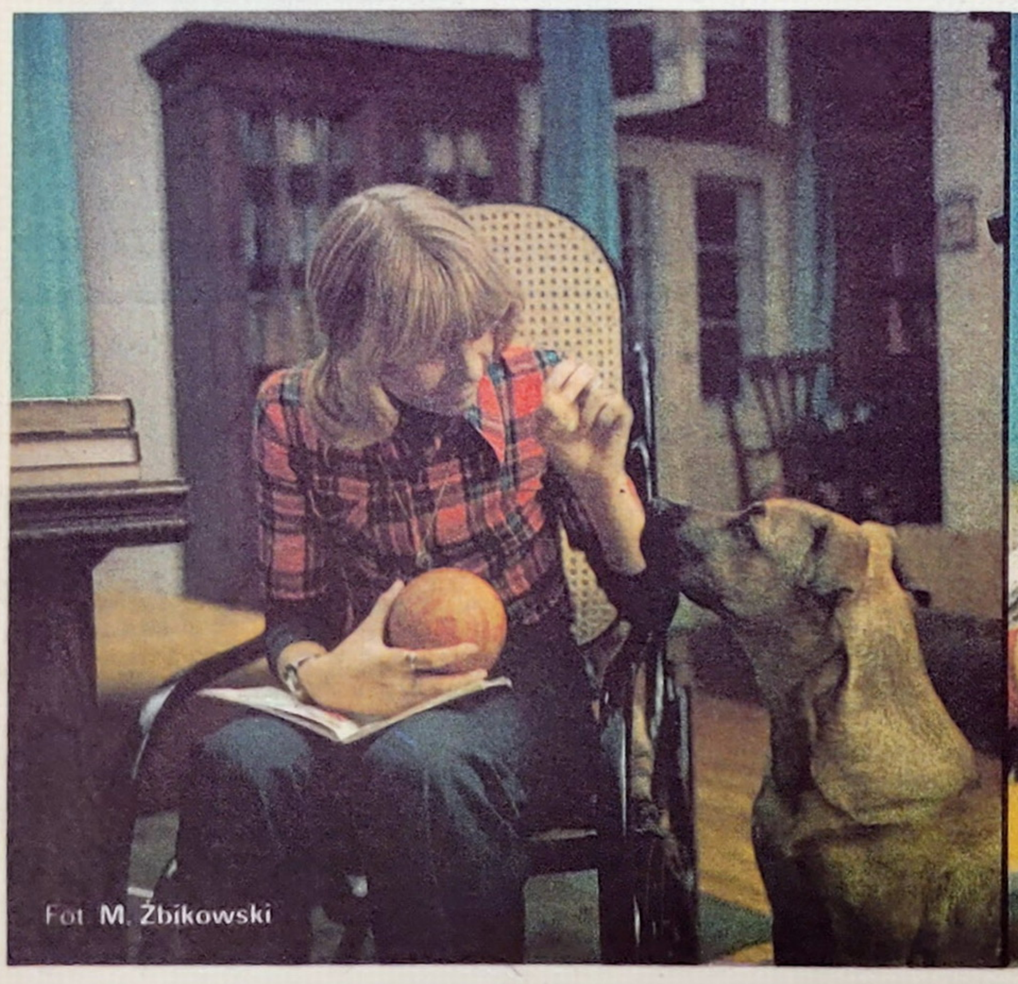

Fot. M. Żbikowski

REDAKCYJNA POCZTA

Uczeń dojeżdżający

Do napisania tego listu zmusiły mnie ostatnie wydarzenia. Chodzi o przewóz pasażerów autobusami PKS. Trudno jest dojechać do szkoły a jeszcze trudniej wrócić do domu. Mam 13 lat. Codziennie dojeżdżam do Szkoły Sportów Letnich nr 15 w Nowym Sączu. Przytoczę kilka przypadków spośród całej masy tego rodzaju, jakie ostatnio się wydarzyły na trasie Nowy Sącz – Kamionka, Królowa, Bogusza, Florynka. Dnia 18 listopada, tj. we wtorek autobus kursowy z Bogusz o godz. 7.16 w ogóle nie zatrzymał się na przystanku w Kamionce Małej. Tym autobusem codziennie dojeżdżam do Nowego Sącza, posiadając oczywiście bilet miesięczny wyznaczony na ten kurs. Wprawdzie autobus był przeładowany – ale kto nim jechał? 50 proc., to posiadacze biletów miesięcznych, a druga połowa, to handlarki z tobołkami. Kurs ten zaznaczony jest na rozkładzie jazdy jako kurs z pierwszeństwem dla posiadaczy biletów miesięcznych. Czekam na następny autobus, mający przejeżdżać o 9.16. Niestety, ten również z pośpiechem i rozmachem przejechał przepełniony. Musiałem więc czekać dalej. Udało mi się dostać do szkoły o godz. 10.30. I cóż, nikt mi wówczas nie napisał usprawiedliwienia za spóźnienie się na 2 lub 3 lekcje. Jeszcze gorszy przypadek zdarzył się na dworcu autobusowym w Nowym Sączu. Autobus do Kamionki o 15.30 odjechał dopiero o godz. 17.00. Przyczyną był oczywiście kierowca. Nie pozwolił on wejść kilkunastu uczniom dojeżdżającym do N. Sącza do szkół średnich. Uważał bowiem, że autobus ma wystarczającą liczbę pasażerów. Nikt nie chciał się z tym zgodzić, aby zostawić gromadę uczniów i słusznie, bo następny autobus do Kamionki jest aż o godz. 19.00. Kierowca wysiadł i poszedł do dyżurki. Zobaczono go po 60 minutach z milicjantem. Kierowca nadal się upierał. Przed godz. 17.00 część pasażerów przeniosła się do autobusu do Florynki. Wówczas autobus do Kamionki pospiesznie odjechał. Kierowca-konduktor mający jechać do Florynki poprosił osoby z biletami miesięcznymi. Nie zgodzili się na to pasażerowie posiadający bilety z kasy wyznaczone na ten kurs. Zdenerwowany kierowca nie mogąc poradzić sobie z falującym tłumem oznajmił, że kurs ten będzie odwołany. Zaczęto więc oczekiwać na następny. Po półtoragodzinnej przerwie podstawiono podmieniony autobus do Florynki, przepraszając pasażerów za opóźnienie. Tych przeprosin za opóźnienie jest codziennie wiele. Wczasowicze i turyści przebywający w lecie w naszej okolicy dziwili się, że my możemy spokojnie znosić takie sytuacje i że dotąd nikt nie podjął się próby interwencji w tej sprawie. Niestety, my jesteśmy tylko uczniami.

Marek Kościółek,
Kamionka Mała

OD REDAKCJI: Dyrekcję Państwowego Przedsiębiorstwa Komunikacji Samochodowej – Oddział w Nowym Sączu, ul. Wyspiańskiego 2 prosimy o jak najszybsze zapewnienie normalnych warunków dojazdu do szkół oraz powrotu do domu uczniom szkół podlegającym Kuratorium Oświaty i Wychowania w Nowym Sączu. Pilnie oczekujemy na informację o sposobie załatwienia sprawy.

(bs)

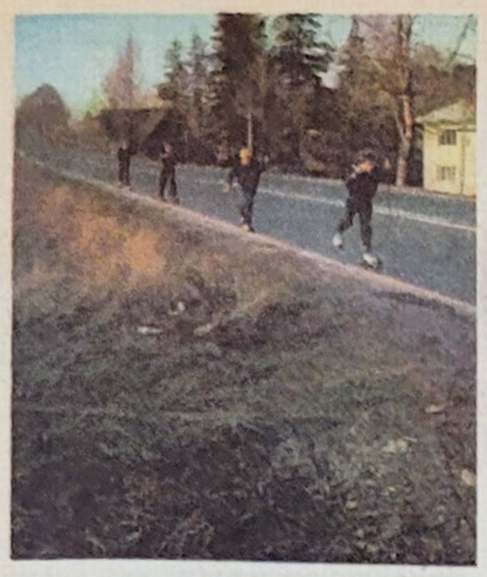

Zanim spadnie śnieg

Ostatnimi laty pogoda nam takie figle płata, że choć niby w kalendarzu „stoi", że jest zima, ale jej najgłówniejszego atrybutu, śniegu, trudno uświadczyć. Nawet na Podhalu, gdzie powinno być go co niemiara, rzadkim bywa gościem. Dla narciarzy trudne więc nastały czasy.

Trudne?! Od czegóż pomysłowość! Gdy ktoś bardzo chce, może treningi narciarskie odbywać bez śniegu. Tę czwórkę narciarzy, Staszka Pająka, Piotrka i Tadka Białonia oraz Pawła Warmusa, uczniów Szkoły Podstawowej nr 3 w Nowym Targu, spotkaliśmy 6 listopada br., a dzień to był iście wiosenny. Mieli już tego dnia w nogach prawie 20 kilometrów narciarskiego treningu. A wszystko za sprawą pana Zbigniewa Sobkowskiego, trenera nowotarskiego klubu sportowego „Podhale", który na początku roku szkolnego zjawił się w szkole namawiając do zainteresowania tzw. nartorolkami. Dało się namówić ok. 20 chłopców i dziewcząt, wśród nich ta właśnie czwórka, która choć treningi w klubie odbywają się trzy razy w tygodniu, każdą niedzielę poświęca jeszcze na trening indywidualny. „Jak spadnie śnieg – powiedział Staszek – to dzięki zaprawie na nartorolkach będziemy lepsi od tych, którzy z pomysłu nie skorzystali."

Mają nie tylko rację, ale i sporo narciarskiej frajdy nie czekając na śnieg. A narciarze z nich naprawdę zapaleni, to widać. Widać również, że na miejsce swojego indywidualnego treningu wybrali szosę Kraków–Zakopane, która jest... raczej ruchliwa. Oby nie skończyło się to wypadkiem! Bo pomysł sam w sobie jest znakomity i ze wszech miar godzien naśladowania. Z wyjątkiem tego ostatniego – nie jest rozsądnie wybierać jako teren do ćwiczeń najruchliwsze miejsce w okolicy!

Składając więc to jedno zastrzeżenie zadajemy równocześnie pytanie – kto następny rusza na nartorolkach? Zanim spadnie śnieg, warto złapać trochę narciarskiej kondycji! **(ek)**

Fot. **J. Łopuszyński**

Będzie to historia z rzędu tych, które zdarzają się co jakiś czas, jak gdyby specjalnie po to, by – niby kamień rzucony do spokojnej wody – wywołać zamieszanie w umysłach...

SENSACJE XX WIEKU

SPRAWA NORMANA L. DEANA

Sprawa nabiera coraz szerszego rozgłosu

Popularyzatorzy nauki – wśród których nie brak i naukowców – na całym świecie dzielą się teraz na dwa obozy zaciekle walczące ze sobą. I jak zwykle w takich sytuacjach, kiedy w grę wchodzi coś zaskakującego, co w jaskrawy sposób przeczy naszym wyobrażeniom o rzeczywistości – na pewnym etapie dyskusji przestaje być ważny sam przedmiot sporu. Mówi się więc o wszystkim, lecz najmniej o samej maszynie...

Przeciwnicy Deana wymyślają mu od „niedouczonych amatorów", wytykają zawodowe zajęcie: „ten handlarz nieruchomościami", oburzają się, że w ogóle śmiał zakwestionować „fundamentalne prawa mechaniki".

Jego zwolennicy przypominają, iż Morse był wszak dość miernym malarzem, a Heweliusz piwowarem z dziada pradziada – co nie przeszkodziło im osiągnąć sukcesów w zupełnie innych dziedzinach: telekomunikacji i astronomii...

Przywoływano również na pamięć sławetne opinie Akademii Francuskiej, która między innymi odrzuciła piorunochron Franklina jako bezsensowne a nawet niebezpieczne urządzenie. Cytowano XIX-wieczną wypowiedź jednej z gazet amerykańskich, dotyczącą telefonu: „stwierdzenie, że głos ludzki można przekazywać na odległość za pomocą drutu, jest doprawdy śmieszne..."

Co robił w tym czasie pan sprawca owego zamieszania? Udzielał wywiadów, pokazywał swe słynne fotografie, przyjmował telefony z gratulacjami i obelgami, oraz... odgrażał się:

„Jeśli oni nadal będą trwali w swej niechęci do mojego wynalazku, wówczas ja sam zbuduję latającą maszynę i uniosę się nad Waszyngtonem!

Niestety, nigdy tego nie dokonał...

Ostatnie informacje w sprawie „bezodrzutowego aparatu" sugerowały, iż zainteresowało się nim szereg poważnych firm w USA. Podobno stwierdzono nawet zmniejszanie się jego ciężaru, w czasie uruchomienia napędu. Świadczyłoby to, iż istotnie występuje tam jakaś tajemnicza siła nośna...

Leży przede mną stary numer pisma „Science et Vie" z niewyraźną reprodukcją United States Patent Ofice nr 2886976. Zagmatwany rysunek techniczny przedstawia jakąś maszynkę pełną kółek, przekładni, mimośrodów i odnośników cyfrowych.

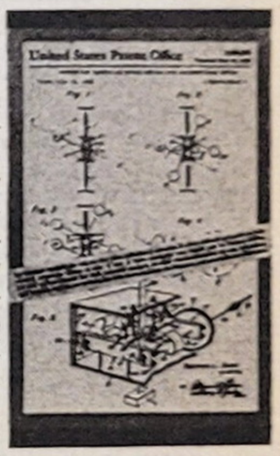

Skoro to opatentowano – myślę sobie – musiano w tym dopatrzyć się jakiegoś sensu. Ale z drugiej strony, upłynęło już tyle lat i jakoś bezodrzutowy silnik Deana nie zawojował świata...

Czyli ostatecznie: TAK czy NIE?

No więc, jeśli idzie o ustalenie ostateczne to, jak na razie, w ogóle nic w tej sprawie nie ustalono...

JERZY DĄBROWSKI

***) Mowa o jednej ze słynnych bajkowych przygód barona Münchhausena, kiedy to ów niefortunny podróżnik wyciągnął się sam za włosy z bagna.**

Początkowo wszystko na pozór niewinnie...

Latem roku 1956, w jednym z biur amerykańskiej Agencji do spraw Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej (NASA) zjawił się pewien niepozorny gentleman z cienką teczuszką pod pachą. Wyjął z niej plik papierów i zwrócił się do znudzonych urzędników:

– **Nazywam się Norman Dean, jestem z zawodu pośrednikiem w handlu nieruchomościami, a to opis mojego wynalazku. Jego istotą jest zamiana ruchu obrotowego na ruch postępowy. Krótko mówiąc: macie panowie przed sobą projekt bezodrzutowego pojazdu zupełnie nowego typu. Będzie on zdolny poszybować nawet w kosmos i to kosztem samych tylko sił wewnętrznych.**

Skierowano więc petenta do odpowiedniego referatu, gdzie urzędowali eksperci od takich spraw...

– **Drogi mister Dean** – powiedzieli inżynierowie NASA w czasie drugiej wizyty wynalazcy. – **Obejrzeliśmy to co nam pan przyniósł, ale niestety: nie ma pan głowy do takich rzeczy. Ta maszyna nigdy nie ruszy z miejsca, gdyż zasada jej działania przeczy fundamentalnym prawom mechaniki newtonowskiej. Sam pan więc rozumie...**

– **Ależ ja mam w domu działający model... to jest miałem, gdyż uległ awarii w trakcie prób! Zostały mi tylko te zdjęcia.**

– **Kochany, niech nas pan nie rozśmiesza. Myśmy tu już oglądali setki różnych fotografii. Widzieliśmy nawet kosmiczne mrówki w skafandrach wychodzące z latającego talerza wielkości dziesięciocentówki. Pańskie pudło, fruwające na zdjęciu w powietrzu, specjalnie nas nie przekonało. Niech się pan skupi i posłucha: NIEMOŻLIWE jest zbudowanie aparatu, który by latał dzięki odpychaniu się od siebie. To nie baron Münchhausen*). Jasne? No więc żegnamy się...**

Norman L. Dean odbył owego, niezbyt dla siebie łaskawego, lata jeszcze kilka podobnych rozmów: w dowództwie Marynarki Wojennej, Senackiej Komisji do spraw Kosmosu, Biurze Patentowym, Narodowej Radzie Wynalazczości. Wszędzie z takim samym rezultatem – posyłano go grzecznie ale stanowczo do wszystkich diabłów.

Przypominam, iż było to latem roku 1956, za kilkanaście miesięcy miał odezwać się z przestrzeni pozaziemskiej pierwszy Sputnik i to wysłany tam przez Związek Radziecki...

Nie wiem, jak się toczyły szczegółowo losy wynalazku w ciągu dwóch następnych lat, ale rok 1959 przyniósł zaskakującą wiadomość: oto w maju niejaki N.L. Dean z Waszyngtonu uzyskuje oficjalny patent na *„urządzenie do zamiany ruchu obrotowego na ruch prostolinijny"*! Opis, wraz ze szczegółowymi rysunkami został opatentowany numerem 2886976.

Czyżby to oznaczało, iż wszyscy specjaliści i naukowcy, którym wynalazca naprzykrzał się poprzednio – nagle przestali mieć rację? Może projekt został udoskonalony, zmieniony albo wręcz mamy do czynienia z przypadkową tylko zbieżnością tematów i nazwisk?

Nie. To ten sam projekt i ten sam wynalazca. Nie wiadomo, co w ciągu tego okresu zaszło, ale faktem jest, że sytuacja zmieniła się zasadniczo: ten, którego jeszcze nie tak dawno wypraszano za każde drzwi – ma już nawet sojuszników...

„Jestem głęboko przekonany, że wynaleziono, sprawdzono i opatentowano całkowicie nowy typ silnika kosmicznego. Jest to prawdziwe odkrycie. Jest to jednocześnie kolosalne naruszenie narodowego bezpieczeństwa: wypuszczenie tego wynalazku z rąk było błędem nie do wybaczenia. W żadnym wypadku, nie wolno było więc opublikować szczegółowego schematu i zasady działania aparatu. Niestety – to już się stało..." – pisał w obszernym artykule, szczerze zatroskany, sam redaktor naczelny pisma „Analog: Science Fact and Fiction", John Campbell – junior.

Wkrótce potem Deanowi poświęca dwukrotnie swe łamy francuskie „Science et Vie". Pisma naukowo popularne całego świata wysyłają swoich specjalnych wysłanników do Waszyngtonu, a potem rozpisują się na temat owej „nieprawdopodobnej maszyny latającej". Radzieckie – „Technika Młodioży", „Izwiestia", „Znanie–Siła" i inne – rozpoczynają między sobą dyskusję, której tematem jest nie tyle samo urządzenie, ile zasady na jakich mogłoby działać. Zabierają głos sławy naukowe, znani konstruktorzy, popularyzatorzy nauki...

– **„Technika jest pełna niespodzianek. Nowa teoria Deana ogromnie mnie zainteresowała. (...) Aparat latający zbudowany w oparciu o teorię Deana można by sobie wyobrazić jako zamknięte naczynie, które nie będzie leciało, lecz płynęło w powietrzu, będzie się poruszało na skutek gwałtownych pchnięć we wnętrzu układu, przy czym ruch pionowy będzie się odbywał dzięki pchnięciom gwałtownym w górę, a do dołu – łagodnym. Na razie jest to jednak fantazja..."** – pisał na łamach „Izwiesti" znakomity konstruktor lotniczy O.A. Antonow.

W tym samym mniej więcej czasie dwaj radzieccy inżynierowie: W. Kardaczew i L. Stiepanian stwierdzają: **„Jak wykazały doświadczenia, aparat wytwarza stałą siłę nośną. W zależności od wielkości tej siły aparat zostanie zawieszony w powietrzu lub też uniesie się do góry. Może się on również poruszać w płaszczyźnie poziomej. Czy prawo zachowania energii nie zostaje przy tym naruszone? Wydawałoby się, że nie. Przecież energia potrzebna do uniesienia aparatu zostaje wytworzona przez silnik napędzający mimośród".**

Na łamach „Izwiesti" zabrał w odpowiedzi głos członek Akademii Nauk ZSRR B. Konstantinow...

– **„Przyrząd równie niedokładny jak aparat Deana nie może sobie rościć pretensji do uściślania praw mechaniki. (...)**

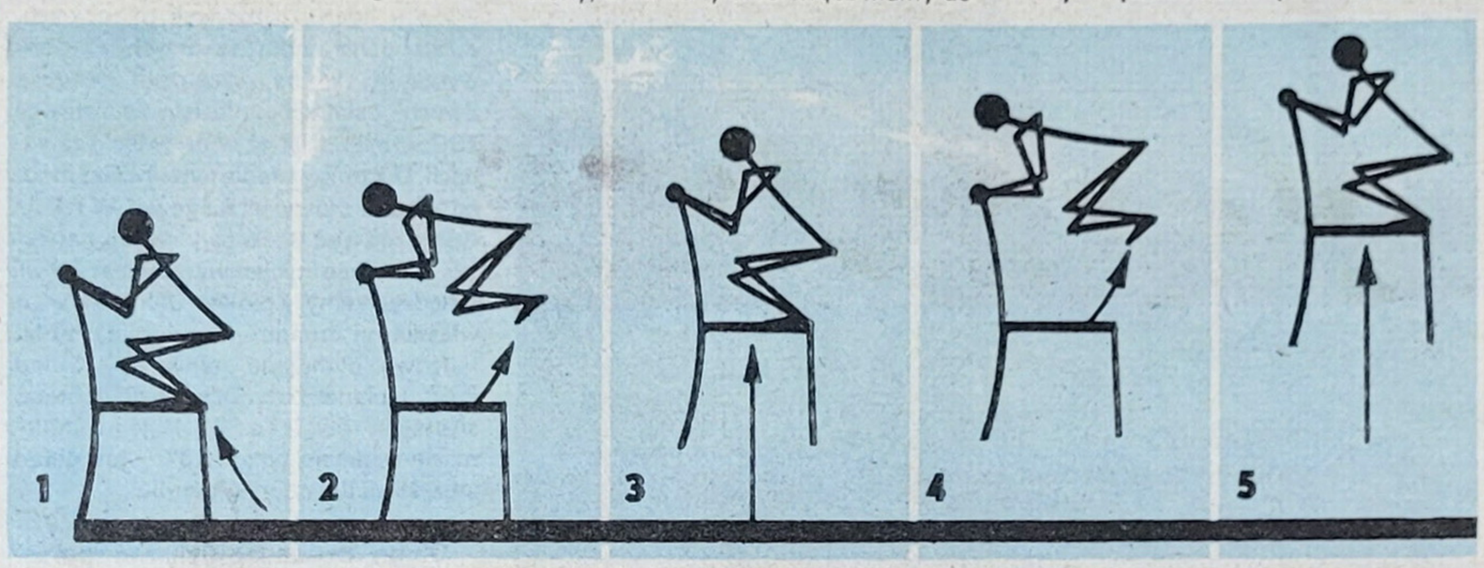

Za pomocą tego żartobliwego rysunku „Science et Vie" wyjaśnia zasadę działania silnika Deana. Zasada ta, uznana początkowo za absurdalną, po pewnym czasie została nazwana pół żartem – pół serio „czwartym prawem mechaniki".

– Jeśli kolejne odpychania i przyciągania dwóch mas będą przebiegać w pewnym określonym tempie, powstanie dodatkowa siła zdolna unieść w górę człowieka z krzesłem **– powiada Dean. Oczywiście jest to tylko ilustracja założenia teoretycznego, które w patencie nr 2886976 zostało – jak twierdzi wynalazca – zrealizowane za pomocą odpowiednio ustawionych, napędzanych silnikiem elektrycznym mimośrodów.**

O miłości Ewy i Marka

W RĘCE SMYCZ, NA

Zrobiono im świństwo. Uważam, że nie stało się nic złego. Wszyscy wiedzą, że Ewa i Marek kochają się naprawdę, chodzą ze sobą już od roku.

Dziewczyna, kl. VIII

Za co ich ukarano? Za to, że chcą być razem, że spotykają się? Że podobno całowali się na spacerze? No to co? Nie pierwszy i nie ostatni raz. Myślę, że dopiero robienie z tego problemu jest nieprzyzwoitością. Ot, po prostu starsi są zazdrośni.

Chłopiec, kl. VIII

W szkole było wiadomo nie od dziś, że Ewa i Marek chodzą ze sobą. Ta miłość może będzie trwać do końca życia, a może jeszcze tylko rok czy dwa. Marek opiekuje się Ewą, Ewa dba o Marka. Koledzy z klasy trochę się z tego śmieją, ale w gruncie rzeczy zazdroszczą im.

Ewa i Marek mieszkają naprzeciw siebie. Kiedyś bawili się razem w piaskownicy, potem... nie znali się. Ale Ewa często obserwowała Marka z balkonu. Irytował ją. Pełne gracji ruchy, gustowne ciuchy, mina, jakby wszystkich miał w nosie, w ręce smycz, na smyczy czarny dog.

– Moje obserwacje były skrupulatne – śmieje się dzisiaj Ewa. – Stwierdziłam, że w mieszkaniu oprócz Marka jest jeszcze elegancka mama, efektowny tato i starsza pani. Babcia albo gosposia. Niewiele mi to jednak dało, bo ciągle nie miałam pomysłu jak odnowić znajomość.

Aż... pożyczyłam od koleżanki psa. Był to ni wyżeł, ni foksterier, ot, zwykły mieszaniec. Czekałam na okazję. Kiedy Marek z dogiem pojawił się w polu widzenia, wybiegłam ze „swoim" psem.

– Śmiesznie wyglądała – mówi Marek. – Przybrała minę dumnej posiadaczki psa i wolnym, niedbałym krokiem przedefilowała wzdłuż ławek na skwerku. Zapamiętałem tylko jej rudą – patrzy na Ewę – no, trochę rudawą kitę.

– Kłóciliśmy się o mego psa – wspomina Ewa. – Zawsze będę pamiętała jego wyniosłe zdanie: „Kundel, zwykły kundel. Ja bym się z czymś takim nie pokazał na ulicy!" Byłam wściekła. Wyzwałam go od snobów, paniczyków...

– A pogodziła nas babcia – wtrąca Marek – która kazała mi pożegnać się z panienką, bo czekała już kolacja.

Potem w szkole Marek na każdej przerwie zauważał Ewę. Widział jej lekko zadarty nosek, śmiejące się oczy. Postanowił, że jeśli jeszcze raz spotka ją na spacerze z kundlem – zaczepi. Pal diabli psa, ważna dziewczyna. Ale Ewa musiała kundla zwrócić koleżance, nie było pretekstu do wyjścia na spacer. Aż wreszcie spotkali się w drodze do szkoły. Szybko dogadali się i od tamtego momentu wolny czas spędzają razem. A że są w klasach równoległych, więc i uczą się także razem. Przyzwyczaili się do tego rodzice, nauczyciele, uczniowie. Aż któregoś dnia...

Ewa i Marek zostali wezwani do pani dyrektor szkoły. Zarzut, jaki im postawiła, to... niemoralne zachowa-

Młode wojsko

FOTOREPORTAŻ KAJETANA ADAMOWSKIEGO

SMYCZY CZARNY DOG

nie się poza szkołą. Kto to widział, żeby całować się publicznie! Do Ewy:

– Czy zdajesz sobie sprawę, dziewczyno, że łamiesz regulamin uczniowski (w którym punkcie?), nie wiesz nic jeszcze o poważnych sprawach ludzi dorosłych. Jak twoi rodzice są nieodpowiedzialni, to szkoła musi być odpowiedzialna za ciebie!

Zaskoczyła pani dyrektor Ewę i Marka. Nawet nie potrafili się bronić. Ledwo dotarło do nich, że oboje są zawieszeni w prawach ucznia na dwa tygodnie. A jutro do szkoły mają przyjść ich rodzice. Gdzie się udać, komu pożalić się? Wybrali panią pedagog. Od niedawna jest w ich szkole. Jest młoda, może zrozumie.

Pedagog: – Przyszli do mnie zupełnie załamani. Nie wiedziałam nic jeszcze o sprawie. Serce mi się ściskało jak patrzyłam na Ewę. Zrobiono z niej „osobę niemoralną", a kto wie, jakie jeszcze słowa usłyszała. Przecież to straszne. Jak mogła moja starsza koleżanka (proszę tego nie wyciągać na światło dzienne, niech to pozostanie między nami) postąpić w taki sposób! To może zostawić trwały ślad w psychice dziewczyny. I kto wie, czy z tego wszystkiego nie znienawidzi Marka, a może chłopców w ogóle. Cóż mogłam im wówczas pomóc? Rozmawiałam, ale dużo nie obiecywałam. Sama nie wiedziałam, jak naprawić błąd dyrektorki.

Nauczyciele: – My, dorośli, zbyt często traktujemy młodzież jednakowo. Nie odróżniamy ładnej miłości od głupich podrywów. Na wszelki wypadek posądzamy wszystkich o brak poważnych uczuć. Pewnie dlatego nie mają do nas zaufania.

– Moim zdaniem i Marek, i Ewa są niewinni. Nie pojmuję, jak można było tak z nimi postąpić.

Są to tylko dwie opinie nauczycieli tej szkoły na temat afery. Dziwię się tylko jednemu. **Wiem, że na radzie pedagogicznej większość nauczycieli głosowała za tym, aby uznać winnym Ewę i Marka i utrzymać w mocy „wyrok" pani dyrektor.** A w rozmowach ze mną głoszą zupełnie co innego. Że to prywatna sprawa Ewy i Marka oraz ich rodziców (na zebraniu: gdzie rodzice mają oczy, zaczyna się od pocałunku, a kończy...), że kara jest niesprawiedliwa, wystarczyłaby rozmowa, zwrócenie uwagi...

Bibliotekarka: Po co od razu piętnować miłość Ewy i Marka? Zamiast uczyć poszanowania cudzych uczuć i przeżyć, nauczyciele dali przykład brutalności. Pokazali, że wolno obrażać, plotkować, wtrącać się. A tak nie należy.

Uczniowie: Nasza pani dyrektor zrobiła z miłości zło, zakazany owoc, a mogła pomóc jej się rozwijać. **Nie tylko Ewa i Marek potrzebują pomocy, potrzebujemy jej my wszyscy. Chcemy wiedzieć, co to jest prawdziwa miłość i jak ją odróżnić od chwilowych zawrotów głowy.**

GRAŻYNA KIEDYK

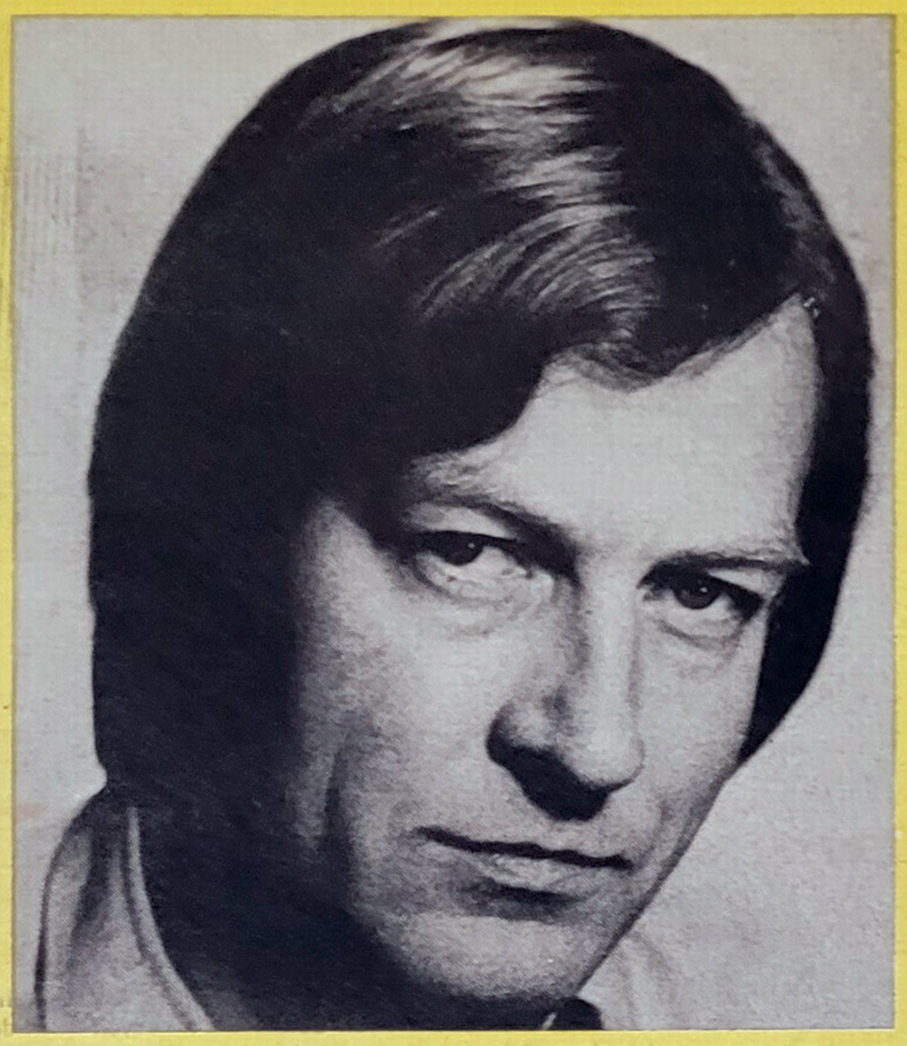

GWIAZDOZBIÓR

Przepraszam, czy pan jest aktorem? BRUNO O'YA

Widzowie dobrze znają jego charakterystyczną olbrzymią sylwetkę: dwa metry wzrostu, sto kilogramów wagi. Syn Szwedki i Estończyka zakochał się w Polsce, ożenił się z Polką i zamieszkał we Wrocławiu. Kiedy 10 lat temu przyjechał do naszego kraju, nie znał języka wcale, ale już wkrótce swobodnie potrafił się porozumiewać, choć jak twierdzą jego przyjaciele, posługiwał się mową podobną do staro-cerkiewno-słowiańskiego. Obecnie wydał książkę – autoportret, napisaną żywo, bogatą i czystą polszczyzną. Zdolności językowe ma zresztą Bruno duże, bo w sumie włada nieźle już ośmioma językami.

Jego pierwszym polskim filmem były „Wilcze echa", w których grał podchorążego Piotra Słotwinę, a czas nakręcania plenerów do tego filmu w Bieszczadach zapisał mu się w pamięci jako masa często zabawnych, ale bardzo przyjemnych epizodów. W pamięci polskich widzów utrwalił się jednak najbardziej jako Józwa Butrym Beznogi z „Potopu", który uderzeniem dębowej ławy rozkładał swoich przeciwników w czasie karczemnej bójki. Aktor tak opisuje epizod swojej pracy w filmie „Potop": „Mój pra-pradziad jako wojak szwedzkiej armii walczył z Polakami, a teraz ja biłem Szwedów, nawet wygrywaliśmy. Jak to losy płatają czasem figla...

Sienkiewiczowski Józwa nie miał stopy, a ja mam i to jeszcze niemałą, trudno by ją było zamaskować. Hoffman więc zdecydował, że Józwa będzie bez nogi. Umocowano mi ją z tyłu na plecach, podciągnięto pasami, żeby się dobrze trzymała, do kolana przywiązano drewniany kikut i na to wszystko narzucono długi płaszcz, który ważył dobrych kilka kilogramów".

Wysoki wzrost i świetna sprawność fizyczna, umiejętność tańca i miły głos są wielkimi atutami aktorskimi Bruna, toteż reżyserzy chętnie angażują go do filmów kostiumowych, w których rola wymaga dźwigania ciężkich strojów i broni, a często też wykazania się siłą. Okazała sylwetka Bruno znakomicie prezentuje się również w żołnierskim mundurze i na koniu. Były więc jeszcze po „Potopie" filmy – „Kazimierz Wielki", „Zaklęty dwór" i „Znak orła", a prócz tego filmy radzieckie (np. „Komuniści"), bułgarskie („Wesele Iwana Asena"), czechosłowackie, współpraca z telewizją, teatr i wiele, wiele występów estradowych z tańcami i śpiewem. Bruno O'ya śpiewa z upodobaniem ballady w wielu językach i ponoć bardzo niechętnie rozstaje się ze swoją wielką gitarą w czarnym futerale, na której sobie akompaniuje. Jego przyjaciel i współpracownik Andrzej Waligórski mówi o nim, że jest to człowiek zawsze naładowany pomysłami i chęcią działania i, gdyby nie ten wzrost, można by go nazwać „kłębkiem energii". Może dlatego właśnie znalazł czas, by pomiędzy ciągłymi wyjazdami, występami i recitalami chwycić za pióro. On sam tak się tłumaczy: „Dlaczego napisałem tę książkę? Ano, z dwóch powodów. Po pierwsze, bo napisałem, po drugie... Kiedy miałem jeszcze tylko 160 cm wzrostu, gdy o aktorstwie jeszcze nie myślałem, już coś sobie ot, gdzieś na marginesach notowałem. Później dziennik towarzyszył mi wszędzie. Spisywałem go właściwie dla siebie. Teraz ośmielam się niektóre jego karty odkryć przed PT Czytelnikami. Powód? – I mnie dręczy to pytanie: „Czy jest pan aktorem?".

Sympatyczną książkę Bruno O'ya trudno nazwać dziennikiem. Jest to raczej luźny zapis epizodów z różnych „epok" jego życia. Autor nie silił się na specjalne porządkowanie akcji. Czytając „Przepraszam, czy pan jest aktorem?" mamy wrażenie, że siedzimy gdzieś przy kawie z miłym gawędziarzem, który na jedno pytanie odpowiada od razu całą historyjką, sypiąc wspomnieniami i anegdotami wziętymi z własnego życia i pracy. I choć odpowiedź na pytanie znajdujemy już w jego pierwszych słowach gawędzi tak wspaniale, że nie mamy serca, ani chęci mu przerwać.

Gorąco polecam czytelnikom tę książkę, bo jest to rzadka okazja poznania aktora poprzez jego własną opowieść o przeszłości, rodzinie, najbliższych przyjaciołach i pracy.

EWA BIELSKA
Fot. **archiwum**

DOM MODY świata młodych

Świat w kratę

Jednym z ulubionych przez młodzieżową modę deseni była zawsze krata. Była, jest i najprawdopodobniej będzie. Trudno bowiem byłoby chyba znaleźć inny deseń posiadający tak ogromny wdzięk. Krata ma to do siebie, że jest równocześnie i efektowna, i mało wyzywająca, że naprawdę zdobi nie sprawiając wrażenia sztucznej odświętności, że praktycznie każdej dziewczynie jest w kraciastym stroiku do twarzy. Rzecz inna, że do figury, to już może nie wszystkim absolutnie, ale dziewczyna o figurze przeciętnej (a takich przecież jest najwięcej), może sobie na coś kraciastego pozwolić.

Istnieje co prawda trochę uprzedzeń – że jak krata, to już figura musi być żurnalowej modelki – ale wydaje mi się, że w wielu wypadkach nie są one niczym uzasadnione. Ot, tak po prostu, że lubimy na swoją figurę ponarzekać i nad sobą się poużalać – to nie dla mnie, to też nie, ani to... Jasne, spodnie z bardzo dużej i kolorowej kraty pasują dla chudych i tykowatych, ale plisowaną kraciastą spódniczkę może założyć z powodzeniem osoba nieco okrąglejsza, nie mówiąc już o żakiecikach, serdaczkach, wdziankach, chustkach... Bo kraciaste może być dosłownie wszystko. Oprócz wyżej wspomnianych jeszcze szaliki, czapki (z daszkiem i... pomponem), torby i torebki... Widziałam nawet niedawno prześliczny abażur na stojącą lampę obciągnięty takim właśnie kraciastym materiałem.

Krata jako deseń wiecznie modny ma jeszcze jedną ogromną zaletę – kraciaste ciuchy się nie starzeją, zawsze są aktualne. Nawet jeśli rodowód konkretnej sztuki sięga lat kilku wstecz. Oczywiście, w wieku nastu lat szybko się z garderoby wyrasta, ale jeśli któraś z Was ma starszą siostrę, zachęcam do remanentu garderobianego spadku po niej. A nuż coś się kraciastego znajdzie!

Nadeszła najbardziej nieciekawa pora roku, świat stał się szaro-bury... Świat w kratę robi się o wiele bardziej kolorowy!

RIUSZKA

Konkurs organizowano z okazji Dnia Piłkarza. Dla przypomnienia podajemy, że polegał on na rozegraniu w dniu 11 września br. (przez dowolną drużynę i z dowolnym przeciwnikiem) meczu, a następnie nadesłaniu potwierdzonego meldunku o odbyciu spotkania. Na adres warszawskiego oddziału „Sportu" wpłynęło aż 500 takowych meldunków. Oznacza to, że w konkursie Polskiego Związku Piłki Nożnej i obu redakcji wzięło udział 10000 zawodników! Większość listów pochodziła z małych miasteczek i wsi, a organizatorami meczów byli najczęściej harcerze, szkoły i komitety osiedlowe.

AŻ 500 DRUŻYN WZIĘŁO UDZIAŁ W KONKURSIE PZPN „SPORTU" I „ŚWIATA MŁODYCH"

A oto pełna lista laureatów konkursu.

Piłki z autografem trenera-selekcjonera Jacka Gmocha otrzymują: Zbigniew Szczukiecki – 94 DH Wrocław; Ryszard Kosaty – Kętszyn; Zbigniew Hałczyński – Państwowy Zakład Wychowawczy Herby, Mariusz Sianowski – Państwowy Dom Dziecka Przyrzyce, Alfons Bekisz – Żelistrzewo, Piotr Waligóra – Ścibórz, Andrzej Ponrownik – Stanowice.

Piłki z autografem kapitana reprezentacji Polski, Kazimierza Deyny: Józef Krakowiak – Świerkle, Mirosław Majewski – Ostrów Wlkp., Grzegorz Broll – Twaróg.

Książki Wydawnictwa „Sport i Turystyka": Ognisko TKKF Gladiator – Lublin, Wiesław Klag – Łącko, Władysław Stec – Besko, SP–2 – Władysławowo, Dariusz Prządka – Wola Zadybska.

Laureatom serdecznie gratulujemy.

(zp)

Uroczystości w Łebie

Zakończenie całorocznej pracy

Hufiec miejski ZHP w Łebie liczy niewielu harcerzy. Ale nie znaczy to, iż zuchy i harcerze z tutejszej (jedynej) szkoły podstawowej nie mają ambicji, by organizować ciekawą pracę.

Niedawno zakończono trwającą rok kampanię „Bohater". Właśnie teraz, w ramach obchodów 60 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej hufiec otrzymał imię Feliksa Dzierżyńskiego oraz sztandar. Uroczystość zgromadziła przedstawicieli wielu hufców z całego województwa słupskiego. Przedstawiono im dorobek harcerzy, którzy przez cały rok zbierali wiadomości o swoim patronie, jego życiu, działalności rewolucyjnej, zbierali pamiątki z okresu rewolucji: książki, odezwy, plakaty, ulotki. Eksponaty znalazły się w szkolnej Izbie Pamięci Narodowej. Z okazji święta szczepu zorganizowano także konkurs rysunkowy pod tytułem: „Nasz patron F. Dzierżyński" oraz wystawę filatelistyczną. Cieszyła się ona ogromnym zainteresowaniem, bo można było tam obejrzeć bardzo ciekawe znaczki przedstawiające np. podobiznę Lenina z takich państw jak Algieria, Górna Wolta, Mali.

Bardzo wielu harcerzy nawiązało w otatnim roku korespondencyjne przyjaźnie z pionierami ze Związku Radzieckiego. Wszyscy oni spotkali się na II już Zlocie Młodych Korespondentów z Pionierami ZSRR. Zorganizowano też wystawę, na której zostało przedstawione wszystko to, czego harcerze dowiedzieli się o republikach swoich kolegów oraz pamiątki jakie od nich otrzymali. Były więc morskie muszle, lalki w ludowych strojach, serwetki i haftowane obrusy, zdjęcia, widokówki a także... słodycze. Zwiedzając tę wystawę można było w ciągu godziny „przewędrować" przez całe terytorium ZSRR.

W sali kina w Łebie odbyła się uroczystość wręczenia sztandaru i nadania hufcowi imienia. I sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR, Przewodniczący Miejskiej Rady Przyjaciół Harcerstwa, Marian Wnuk Lipiński wręczył sztandar komendantce hufca, hm Halinie Bajkiewicz, która przekazała go młodzieży.

Harcerzom serdecznie gratulujemy dotychczasowych osiągnięć i czekamy na następne zaproszenie, gdy znów będzie się w hufcu dzia o coś ciekawego. (pas)

Otrzymuję ciągle bardzo dużo listów – propozycji o podjęcie na łamach TOMIKA problematyki UFO, a także tzw. archeologii kosmicznej. Ze swej strony proponowałbym temat inny: sposoby nawiązania kontaktów z ewentualnymi cywilizacjami kosmicznymi. Dziś pierwsza wypowiedź w tej sprawie Marka Łaseckiego. Czekam więc na następne.

Uwaga, Darek Szczubełek, z twojej szczupłej informacji wnioskuję, że teleskop powinien dawać 40-krotne powiększenie, natomiast pojęcia nie mam dlaczego nic przez ów teleskop nie widać. Trudno bowiem na odległość coś konkretnego powiedzieć, nie widząc instrumentu.

Uwaga, czytelniczka podpisująca się pseudonimem „Vega" – twoja propozycja, niestety, nie mieści się w profilu tematycznym TOMIKA, który jak wiadomo zajmuje się problematyką astronomiczno-astronautyczną.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

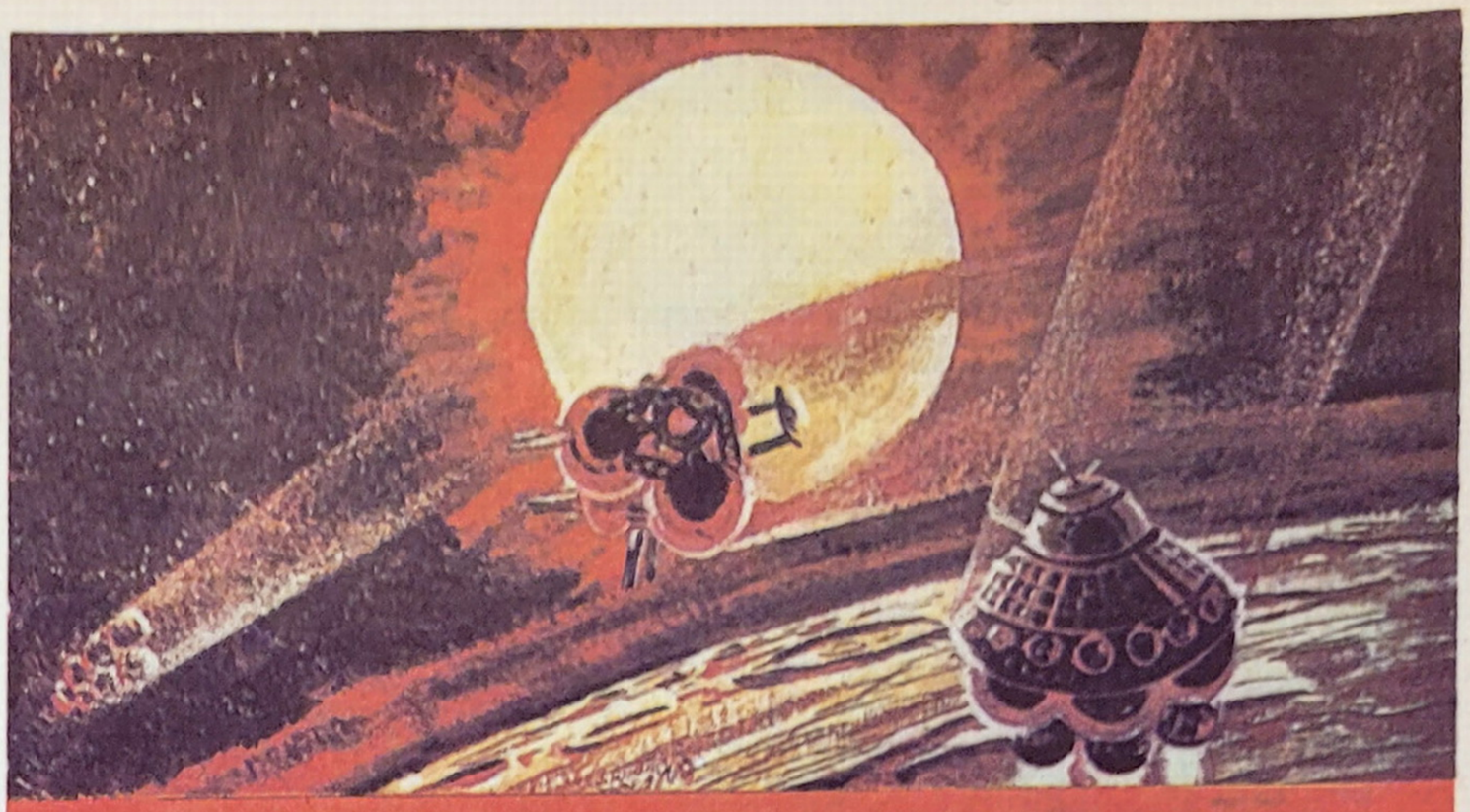

KONTAKT Z OBCYMI CYWILIZACJAMI TYLKO ZA POMOCĄ FAL RADIOWYCH

Gigantyczne rozmiary wszechświata, którego zasięg oblicza się obecnie na 20 mld lat świetlnych, wyklucza realność załogowych lotów pomiędzy zamieszkanymi układami słonecznymi. Przy najbardziej optymistycznych szacunkach już samo wyznaczenie takiego lotu przypominałoby poszukiwanie ziarnka maku na piaszczystej pustyni. Nawet kosmiczna podróż w granicach tej samej galaktyki obejmującej 200 mld gwiazd nie miałaby sensu. Dlatego też równie wątpliwe jak poglądy astro-archeologów ze szkoły Daenikena, jest utożsamianie tzw. Niezidentyfikowanych Obiektów Latających ze współczesnymi wizytami Kosmitów. Zjawiska sprawiające wrażenie pojawiania się takich obiektów w pobliżu Ziemi, są i chyba powinny być badane. Powstała już nowa dyscyplina naukowa, od angielskiej nazwy tych obiektów nazwana ufologią. Badania ufologów zdyskwalifikowały już wiele świadectw rzekomych obserwatorów takich zjawisk. Rozważa się najrozmaitsze możliwości, między innymi także przypadki halucynacji bądź zwykłe mistyfikacje. Eliminuje się ewentualne zjawiska naturalne mylnie interpretowane przez nieświadomych obserwatorów. Ale wciąż pozostaje wiele tajemniczych zdarzeń, które choć nie nazwane po imieniu sugerować mają, iż wśród tysięcy zarejestrowanych obserwacji Niezidentyfikowanych Obiektów Latających część dotyczy rzeczywistych statków z dalekich planet. Ufolodzy są wprawdzie dość ostrożni w swoich sformułowaniach, ale nie zaliczają się do badaczy wykluczających możliwość fizycznych kontaktów z kosmicznymi cywilizacjami.

Tymczasem rosnąca znajomość wszechświata, jego dziejów i rozwoju, skłania raczej wielu uczonych do odrzucenia koncepcji bezpośrednich kontaktów kosmicznych. W szczególnych warunkach środowisk galaktycznych nawiązywać je można tylko poprzez łączność radiową. A więc przez nasłuch ewentualnych sygnałów wysyłanych przez cywilizacje pozaziemskie i penetrowania przestrzeni międzygwiezdnej własnymi specjalnymi sygnałami. Programy takiego działania są już realizowane od kilku lat, głównie przez radzieckie i amerykańskie obserwatoria radioastronomiczne. Przygotowane są założenia nowych programów bardziej systematycznych. Znajdujemy się jeszcze w początkowym okresie tej dziedziny badań. Wskutek niedoskonałości posiadanej aparatury niemożliwe są odpowiednie namiary (ostre) wysyłanych i otrzymywanych sygnałów. Planuje się więc wyposażenie radioteleskopów w specjalne komputery, które będą analizować przechwytywane emisje przyspieszając ich selekcję. Przy założeniu istnienia miliona zaawansowanych cywilizacji w galaktyce liczącej 200 mld gwiazd, a więc takiej, jak Droga Mleczna, niezbędne będzie kolejne nasłuchiwanie emisji aż z 200 tys. gwiazd dla uzyskania statystycznej szansy odkrycia jednego konkretnego sygnału. Ale nie należy się niecierpliwić, jeżeli okaże się wówczas, że nie jesteśmy jedynakami kosmosu, że na łączność z nami oczekuje międzyplanetarna społeczność wysoko rozwiniętych cywilizacji, to czas ten nie będzie stracony. Ziemianie mają przed sobą jeszcze 5 mld lat ciekawego życia.

Marek Łasecki
ul. Robotnicza 23
68–300 Lubsko

TAJEMNICZY PRZYBYSZ Z KOSMOSU

Chciałbym poruszyć temat wydarzenia, które nastąpiło nad miastem Pietrozawodsk. Otóż mieszkańcy Pietrozawodska – miasta radzieckiej Karelii – byli świadkami niecodziennego zjawiska przyrodniczego. 20 września około godziny 4 nad ranem na jeszcze ciemnym firmamencie zajaśniała nagle ogromna gwiazda, wysyłająca na Ziemię pulsujące snopy światła. Gwiazda powoli przemieszczała się w kierunku Pietrozawodska, a potem rozpłaszczyła się, przybierając formę meduzy i zawisła nieruchomo nad miastem, emitując jednocześnie mnóstwo drobnych promieni świetlnych, które wyglądały jak ulewny deszcz. Po jakimś czasie „gwiazda" przestała promieniować, przekształcając się w jasne półkole i zaczęła się przesuwać w kierunku jeziora Onega, którego horyzont spowiły czarne chmury. W tej osłonie powstała następnie półokrągła przerwa o barwie jaskrawej czerwieni w środku i białej po bokach. Naoczni świadkowie twierdzą, ze zjawisko trwało 10–12 minut.

Dyrektor Pietrozawodzkiego Obserwatorium Hydrologiczno-Meteorologicznego J. Gromow, powiedział korespondentowi Agencji TASS, że „pracownicy służby meteorologicznej Karelii nigdy dotąd nie obserwowali podobnego zjawiska. Czym zostało ono spowodowane i jaka jest jego natura – pozostaje zagadką. Wiemy również – podkreślił J. Gromow – że w tym czasie nie przeprowadzono żadnych eksperymentów technicznych. Jednakże niespotykanego zjawiska nie można zaliczyć do złudzeń optycznych, ponieważ jest zbyt wielu świadków, których relacje są niemal identyczne".

Jaskrawa, płomienna kula, która wczesnym rankiem 20 września br. przesunęła się nad horyzontem z południa na północ w okręgu leningradzkim i Karelii – pisze Agencja TASS – obserwowana była przez astronomów z Pułkowskiego Obserwatorium w pobliżu Leningradu.

Obecnie trudno jeszcze dokładnie wyjaśnić pochodzenie tego zjawiska, ponieważ relacje naocznych świadków i obserwatorów wciąż napływają i są analizowane. Na podstawie zebranych już danych, uczeni przypuszczają, że był to najprawdopodobniej wielki meteoryt. „Przybysz z kosmosu" pozostawił po sobie jaskrawy, świecący ślad, który zniknął dopiero po 20 minutach. Jest to zupełnie naturalne, ponieważ przenikając do atmosfery ziemskiej meteoryt rozgrzewa się i rozżarza na swej drodze warstwy powietrza do tego stopnia, że zaczynają świecić.

Upadki na Ziemię wielkich meteorytów są dla nauki zjawiskiem bardzo interesującym. Na razie nie ustalono miejsca, w którym kolejny przybysz z kosmosu zetknął się z Ziemią.

Artur Stachurski
członek PTMA
ul. Armii Czerwonej 71/8
42-400 Zawiercie

mu się ruszały, jak u żuka. I nie wiadomo było, co mu się bardziej podobało – kasza pachnąca dymkiem, czy sam fakt jedzenia.

Wtem Ola zauważyła, że Pańko przestał żuć i patrzy na drogę. Podążyła oczyma w ślad za jego wzrokiem i ujrzała na drodze Niemców. Szli grupą.

– Idą – powiedział Pańko wzdychając, jakby zawczasu wiedział, że przyjdą i już dawno na to czekał. Tylko żałował, że porę wybrali niestosowną – czas obiadu. I znowu wziął się do kaszy.

Niemcy szli w kierunku samolotu. W kolumnie było ich około sześćdziesięciu. Na długim kiju dyndała biała szmata.

– Poddawać się będą – powiedział Pańko strząsając okruszki chleba z wąsów. – A może... postraszyć, co?

Ola spojrzała nań srogo:

– Weź karabin i trzymaj tak, żeby go widzieli. – I dodała – zatrzymasz ich wedle wszelkich zasad regulaminu...

Grupa zbliżała się. Ola i jej towarzysze wstali trochę zdenerwowani. Dziewczynie serce ścisnęło się boleśnie: co będzie, jeśli Niemcy się rozmyślą? Dużo ich i wszyscy są uzbrojeni.

Kiedy Pańko zatrzymał Niemców, jeden z nich wystąpił do przodu i po rosyjsku powiedział, że jest tłumaczem.

Ola rozkazała im oddać broń i wyznaczyła miejsce, gdzie mieli ją złożyć. Przestrzegając porządku Niemcy podchodzili i rzucali na stos swe uzbrojenie.

Wyprężywszy się, niczym na defiladzie, mała, poważna Ola obserwowała jak rośnie przed nią sterta automatów, pistoletów. Jeden z Niemców położył nawet jakiś długi nóż, coś jakby sztylet.

Tłumacz usłużnie poinformował, że w grupie są oficerowie i wszyscy rangą sztabowcy z formacji. Jest nawet generał.

Sam generał stał nie opodal w milczeniu, z nieprzenikniona twarzą. Raz jeden tylko, kiedy pojął, że bierze go do niewoli kobieta, po jego twarzy przebiegł skurcz i usta wykrzywił grymas bólu. Obrzucił długim, badawczym spojrzeniem Olę, jakby chciał dobitnie podkreślić, jak bardzo upokarza go, walecznego generała to, iż musi się poddać jakiejś dziewczynie.

Ola poczuła ten wzrok i pojęła, co oznacza. Napięta wewnętrznie i bardzo wzburzona, usiłowała mimo to nie okazywać swego niepokoju. Spojrzała jedynie na generała i nie zdjęła zeń wzroku, póki sam nie opuścił głowy.

Poleciła odprowadzić jeńców do wsi, gdzie mieścił się punkt zborny.

Kiedy ustawiono ich w kolumnę i Pańko był już gotów wydać rozkaz wymarszu, generał przez tłumacza poprosił Olę, by tam, dokąd ich powiodą, powiedziano, iż poddał się ze swą grupą dobrowolnie.

Ola kiwnęła głową i przywołała Pańkę.

– Uprzedź, że przyszli sami.

– Tak jest towarzyszko mechaniku-lejtnancie – nieoczekiwanie huknął co sił Pańko, wyprężywszy się przed Olą, jak przed poważnym dowódcą i stuknął obcasami.

Ola rozumiała Pańkę. Chciał pokazać Niemcom, że kobieta jest tu ważną osobistością i że oddać się w jej ręce to tak, jakby poddać się co najmniej generałowi.

Pańko, obróciwszy się przepisowo, ruszył z bronią pochyloną do przodu, jak do strzału. Nigdy jeszcze nie maszerował tak ochoczo. Zwykle kroczył sennie, ociężale, kaczym kołyszącym się chodem, tak jak chodzą starsi chłopi na wsi.

Kolumna prowadzona przez Pańkę i Makarycza zwróciła się w stronę wsi. Ola stała i milcząc patrzyła w ślad za nią. Myślała o tym, że wieczorem przybędzie samolot i przywiezie Katię, nawigatora, że polecą obie w naprawionej maszynie na zachód, tam, gdzie obecnie znajduje się pułk. I znów zacznie się zwyczajne frontowe życie, dyżury na lotnisku, kiedy przez noc człowiek tak się nabiega i zmacha przyjmując i odprawiając samoloty, tankując w nie paliwo i oliwę, iż rano nogi rwą i pieką ogniem... A w dzień, po paru godzinach snu, znowu na lotnisko – szykować maszyny do lotów bojowych. No cóż, taka już jest praca mechanika.

Ola obejrzała się. Z dala stał Kola i przyglądał się jej. Wyszła mu z uśmiechem na spotkanie. Po drodze zerwała kilka czerwonych polnych goździków.

– Rozstajemy się dziś, Kola – powiedziała. – Weź, to dla ciebie.

Cdn.

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 40-096 Katowice tel. 599-230, telex 0315327

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046

Opracowanie graficzne

Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna

Anna Dąbrowska

Zam. 7403/G F-96

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-581

Najpierw, nie wiedzieć czemu, długo i dokładnie go oglądał, jakby wątpił w jego niezawodność, po czym oddawał z przerwami kilka strzałów w powietrze i kładł się spać. I wszyscy się uspokajali: gdyby Niemcy nawet wałęsali się w pobliżu, to chyba nie odważą się pójść w kierunku, skąd słychać wystrzały.

Trzeciego dnia stanęli do pracy bardzo wcześnie. Śpieszyli się, by do obiadu zakończyć remont.

Tymczasem gdzieś blisko rozległo się pukanie z karabinu maszynowego. Cała piątka przerwała pracę i przystanęła natężywszy słuch. Kola podszedł do Pańki, który już trzymał karabin w pogotowiu, pociągnął za lufę i poprosił:

– Daj no mnie. Pójdę, zobaczę, co tam.

Pańko nie wypuszczając karabinu chrząknął, pokręcił wąsami i rzekł:

– Sam? Nie, nie dam. Nie wolno.

13 OD ZACHODU DO WSCHODU SŁOŃCA

Natalia Krawcowa

tłum. Jadwiga Jaskólska

Kola był przy Oli. Wygwizdywał coś smętnego zerkając od czasu do czasu na dziewczynę.

Bezwiednie niby zbliżył się do niej i musnął ramieniem jej rękę. Ola poczuła przyjemne ciepło w całym ciele, lecz natychmiast odsunęła się od Koli. Kiedy odwrócił powoli głowę i spojrzał na dziewczynę, brwi miała mocno ściągnięte, twarz jej pałała, a wargi drżały. Szybko cofnęła rękę i wzburzona powiedziała gniewnie obcym jakimś głosem:

– Nie widzisz, że wspornik jest pogięty. Napraw!

A sama odeszła od samolotu, zerwała źdźbło trawy i zaczęła je gryźć patrząc w bok.

Kola opuścił rękę.

– Wszystko jedno pójdę!

Wziął dwa noże, wsunął je za cholewę i wyprostował się. Wszyscy spojrzeli na Olę. Zasępiwszy się przez chwilę powiedziała:

– Dobrze, idź. Tylko nie rób hałasu. Dowiedz się, co tam się dzieje i natychmiast wracaj.

I Kola poszedł wprost ku wystrzałom.

Wrócił niezbyt szybko, po jakichś trzech godzinach, podrapany cały, zakrwawiony z rozdartą bluzą na ramieniu i ręką owiązaną białym gałgankiem.

– Coś ty, biłeś się? Co z ręką?

– A nic. Zadrapałem się gdzieś.

Opowiedział, że wróg próbował się przedrzeć, ale go odparto.

Długi, jak tyka, małomówny Makarycz spytał:

– A Niemców widziałeś?

Kola spojrzał pogardliwie nań i zwracając się do Oli powiedział:

– Są tu, za szosą.

Następnie poszperał w kieszeni i wyciągnąwszy pistolet podał go Oli:

– Masz. To dla ciebie.

– Niemiecki?

– Tak.

Ola spuściła oczy i ujrzała, iż Kola ma tylko jeden nóż za cholewą.

– Ta-a-k – przeciągnął Pańko. – Zdobyczny – znaczy się.

– Dziękuję – powiedziała Ola – ale zostaw go sobie. I więcej tam nie chodź. Ja mam swój, jest w pułku...

W południe, kiedy samolot był gotów, usiedli, żeby odetchnąć i posilić się. Upał doskwierał, rzadkie sosny nie chroniły od słońca, toteż obiad spożywali pod skrzydłem samolotu, w cieniu. Jedli gryczaną kaszę. Ola obserwowała spode łba Pańkę i uśmiechała się nieznacznie. Pańko jadł z apetytem. Nie śpiesząc się podnosił do ust łyżkę, z lubością wdychał zapach kaszy, po czym namiętnie mełł ją żuchwami, choć wydawało się to zupełnie zbędne. Wąsy

Dokończenie na str. 7